

Pierwsze dni na Półwyspie Kenai

cz. II relacji z wyprawy na Alaskę

Drugi dzień pobytu na Alasce zaczął się nad podziw dobrze. Ku mojemu zaskoczeniu obudziłem się bardzo wcześnie, bo tuż po 6:00 rano, a przy tym czułem się na tyle wyspany i wypoczęty, że czym prędzej przebrałem się w dres oraz adidasy, a następnie wyszedłem na zewnątrz trochę się pogimnastykować. Niestety, po pięciu minutach rozgrzewki poznałem pierwszy poważny mankament spędzania lata na Alasce – moskity. O tej porze roku pojawiają się ogromne ilości tych owadów, im jest cieplej tym jest ich więcej, zwłaszcza w pobliżu zacienionych zarośli. Co prawda gdy ćwiczyłem było stosunkowo chłodno, ale mimo to przyleciało ich przynajmniej kilkanaście sztuk, po czym zaraz mnie obsiadły klując przez ubranie. Z wyglądu oraz zachowania samice moskitów są niemal wierną kopią polskich komarzy i podobnie jak tamte potrzebują krwi ssaków do prawidłowego rozwoju składanych przez siebie jajeczek.



Fot.65 Borealny las iglasty na Alasce

Moskity są mniejsze niż polskie komary, a zatem jednorazowo wysysają z człowieka mniej życiodajnego płynu, niemniej jednak jest ich tyle, że sumarycznie patrząc są znacznie gorsze niż ich polskie „kuzynki”. Na Alasce, zwłaszcza na obszarach mokradłowych, moskity są uważane za cichych zabójców, ponieważ potrafią doprowadzić pojedyncze, duże ssaki (np. renifery) do anemii, a nawet zgonu, gdy organizm nie nadąży już z odtwarzaniem krwi ubywającej z krwioobiegu. W każdym razie ja nie przyjechałem na Alaskę po to aby wspomagać moskity w ich procesie rozrodczym, dlatego natychmiast porzuciłem pomysł dłuższej rozgrzewki i pobiegłem drogą przed siebie licząc na to, że szybko zgubię natrętne owady. Plan okazał się skuteczny, ale miał jedną zasadniczą wadę: nie można było się zatrzymywać, nawet na chwilę, ponieważ niemal natychmiast zlatywały się z całej okolicy kolejne roje moskitów zwabione intensywnym zapachem potu.

Biegałem tak mniej więcej pół godziny. Tutaj jednak muszę nadmienić, że jogging na Alasce to nie to samo, co np. bieganie po parku Jordana w Krakowie. Wczoraj dyrektor parku poinstruował mnie żebym pod żadnym pozorem nie biegał po lesie, a jedynie wzdłuż szutrowej drogi biegnącej z siedziby parku do miasteczka Soldotna. Zasugerował, żebym ze względów bezpieczeństwa unikał ćwiczeń pośród drzew, ponieważ mogą niespodziewanie spotkać niedźwiedzia lub łosia, a to wiązałoby się najprawdopodobniej z bardzo przykrymi dla mnie konsekwencjami w postaci utraty zdrowia lub życia. Jako przykład opowiedział historię pewnego wolontariusza z Nowego Jorku, który w zeszłym roku przyjechał do Kenai i pomimo ostrzeżeń uprawiał w lesie jogging. Pewnego dnia, gdy jak co dzień biegł przez las skupiony na wysiłku fizycznym oraz wsłuchany w muzykę dobiegającą ze słuchawek,

wybiegł zza zakrętu i niemal wpadł na niedźwiedzie leżącą na środku leśnej ścieżki.

Co gorsza, dopiero w tym momencie zauważył, że po jego lewej stronie, nieco w tyle, baraszkowały w zaroślach dwa małe niedźwiedki, a więc nieopacznie znalazł się pomiędzy matką i jej potomstwem. Niedźwiedzica błyskawicznie poderwała się z ziemi i zaatakowała sportowca traktując go jako realne zagrożenie. Uderzeniem łapy w klatkę piersiową powaliła na ziemię, chwyciła kłami za udo, po czym zawlokła kilkadziesiąt metrów dalej w miejsce, w którym – według jej uznania – nie stanowił on już zagrożenia dla małych niedźwiedzków. Tam porzuciła go na wpół nieprzytomnego z bólu i przeobrażenia, po czym oddaliła się ze swoimi maluchami w głąb lasu. Niefortunny maratończyk, odnaleziony po pewnym czasie przez turystów, trafił do szpitala i przeżył, jednak minęło jeszcze wiele miesięcy zanim odzyskał pełną sprawność w nodze oraz powrócił do psychicznej równowagi. Przy całej dramaturgii zdarzenia człowiek ten mógł jednak mówić o szczęściu w nieszczęściu ponieważ... nie zginął.



Fot.66 Wnętrze alaskańskiego lasu

Na Półwyspie Kenai żyje kilka tysięcy niedźwiedzi czarnych, zwanych też baribalami oraz kilkaset niedźwiedzi brunatnych, przy zagęszczeniu populacyjnym, w którym jeden niedźwiedź przypada średnio na 4 km² terenu. W tej sytuacji swoistym paradoksem jest fakt, iż według oficjalnych danych statystycznych na Alasce rokrocznie ginie znacznie więcej osób zaatakowanych (najczęściej w obronie własnej) przez losie, a nie przez niedźwiedzie. Turyści błędnie sądzą, że niedźwiedź – jako drapieżnik – jest dużo groźniejszy i dlatego trzeba go omijać z daleka, natomiast duży i powolny, roślinożerny łos jest na tyle sympatycznym oraz pokojowo nastawionym zwierzęciem, że można się do niego bezkarnie zbliżyć. Gdy jednak przekroczy się bezpieczny dystans nagle okazuje się, że wciąż jest to dzikie i niebezpieczne stworzenie, choć dla lekkomyślnych turystów najczęściej jest już wtedy za późno.

Po bieganii wziąłem prysznic, zjadłem obfite śniadanie, a następnie udałem się do siedziby parku rozpocząć pracę. Tam jednak spotkałem na korytarzu Douglasa, który zaproponował mi przejażdżkę po wschodniej części parku. Uradowany ciekawie zapowiadającym się dniem udałem się wraz z nim na parking, gdzie wsiedliśmy do jednego z wielu stojących tam ogromnych pick up-ów. Przy okazji Douglas wręczył mi niewielką (ok. 20 cm długości) gaśnicę pieprzową, a także przeszkolił w jej użyciu jako broni odstraszającej niedźwiedzie na wypadek ich ataku. Podobno rozpylony z bliskiej odległości sproszkowany pieprz skutecznie odstrasza te zwierzęta, choć oczywiście każdy zdaje sobie sprawę z tego, że w sytuacjach

ekstremalnych nic nie zastąpi broni palnej. Naszym głównym celem miało być jezioro Skilak położone w prostej linii ok. 30-40 km na wschód od miasteczka Soldotna. Prowadziła do niego droga szybkiego ruchu nazywana Sterling Highway, choć do prawdziwej autostrady było jej daleko. Jadąc nią zauważyłem, że w wielu miejscach wzdłuż poboczy całe pasma terenu porośnięte były przez młode brzoźki, tzw. nalot, który pojawił się w miejsce wyciętego lasu. Douglas powiedział, że akurat w tym miejscu te wysokie na 1-1,5 m młode brzozy są przekleństwem parku ponieważ stanowią ulubiony pokarm łosi, które przychodzą po nie z lasu, najczęściej przechodząc na drugą stronę drogi. Wtedy dosyć często zdarza się, że ssaki te wpadają pod koła nadjeżdżających samochodów, co niemal zawsze kończy się śmiercią zwierzęcia, całkowitym zniszczeniem pojazdu oraz szpitalem dla kierowcy i pasażerów. Ocenia się, że rocznie na terenie parku ginie w ten sposób około 200 łosi. Departament Transportu stanu Alaska planuje przebudowę autostrady w taki sposób, aby zmniejszyć ilość wypadków jednak będzie to trudne ponieważ rocznie przejeżdża tędy ok. 1,2 miliona samochodów.



Fot.67 Łoś alaskański (*Alces alces gigas*)

W pewnym momencie, jeszcze zanim dotarliśmy nad jezioro Skilak, Douglas zatrzymał samochód na kempingu znajdującym się w granicach ostoi przyrody, po czym przedstawił mnie jednemu z pracujących tam od wielu lat wolontariuszy. Okazało się, że był nim Edward Wisz – kolejny potomek Polaków na Alasce, sympatyczny starszy pan w wieku ok. 65-70 lat, którego rodzice pochodzili z Rzeszowa. Edward, do którego Douglas zwracał się po prostu „Ed”, wciąż potrafił mówić po polsku, więc po raz kolejny usłyszałem swój ojczysty język tak daleko od domu. Była to dla mnie wielka przyjemność, a zarazem ogromna niespodzianka, bowiem Edward był już czwartą osobą o polskich korzeniach, którą poznałem w parku w ciągu zaledwie kilku dni. Po krótkiej rozmowie przeszliśmy się razem z Douglasem po kempingu, gdzie miałem okazję zobaczyć kilka ciekawych rzeczy. Dowiedziałem się od niego, że na obszarze parku Kenai znajduje się kilkanaście kempingów oraz pól namiotowych, jednak z tego co zdażyłem zauważyć ich charakter znacznie różnił się od podobnych obiektów turystycznych położonych w Polsce. Zasadnicza różnica polegała na tym, że amerykańskie kempingi przeznaczone są dla turystów zmotoryzowanych. Każdy kemping podzielony jest na stanowiska oddzielone od siebie wąskim pasem zieleni, w których znajduje się miejsce na duży samochód z przyczepą, ławki ze stolikiem oraz miejsce na ognisko lub grilla. Na każdym kempingu położonym nad jeziorem lub rzeką znajduje się też wygodny zjazd do wody umożliwiający zwodowanie łodzi lub pontonu. Ze względu na fakt, iż w parku Kenai znacznie częściej niż turystów spotkać można w lesie niedźwiedzie na kempingach zainstalowano metalowe pojemniki oraz kontenery, dzięki którym zwierzęta nie są w stanie skorzystać z żywności przechowywanej przez ludzi, ani tym bardziej buszować w odpadkach. Przestrzeganie tej zasady jest bardzo ważne, bowiem jeżeli dany niedźwiedź nauczy się, że wśród ludzi może znaleźć pożywienie staje się napastli-

wy i agresywny, nierzadko atakując turystów lub niszcząc im namioty i ekwipunek. W takiej sytuacji jedynym rozwiązaniem jest odstrzał zwierzęcia, który nabrał nieprawidłowych nawyków. Na kempingu, a także w pobliżu często uczęszczanych punktów widokowych znajdowała się przynajmniej jedna duża toaleta, natomiast nigdzie nie widziałem popularnych u nas plastikowych wychodków typu „toi toi”. W jednej z zadaszonych wiat znalazłem wąski, metalowy pojemnik do którego turyści wrzucali koperty ze zgłoszeniem terminu swojego pobytu na kempingu wraz z wymaganą opłatą. Jest to ukłon w stronę wczasowiczów, dzięki czemu nie muszą oni jechać do siedziby parku i osobiście załatwiać tam wszystkich formalności. Początkowo byłem zaskoczony zaufaniem, jakim obdarza się na Alasce przyjezdnych jednak po chwili Douglas przyznał się, że na wszelki wypadek pracownik parku codziennie przyjeżdża na miejsce, zbiera koperty, a następnie sprawdza czy rezerwacje i kwoty pieniężne zgadzają się ze stanem faktycznym, tzn. obłożeniem kempingu.



Fot.68 Malownicze jezioro Headquarters

Jeżeli turyści chcą spędzić kilka dni z dala od uczęszczanych miejsc albo po prostu nie mają własnej przyczepy kempingowej mogą wynająć jedną z trzynastu leśniczówek znajdujących się w posiadaniu parku. W zależności od położenia leśniczówki koszt jej wynajęcia waha się od 35 do 45 dolarów za dobę, przy czym w ramach wyposażenia dostaje się do dyspozycji m. in. kanadyjkę zwaną tutaj canoe. Po przechadźce wsiedliśmy z powrotem do samochodu, ale zanim odjechalismy Edward zdażył jeszcze napomknąć, że następnego dnia wybiera się do portu Homer, więc gdybym reflektował to on chętnie weźmie mnie ze sobą na przejażdżkę. Kwadrans potem dotarliśmy w końcu nad jezioro Skilak, po czym skrzyliśmy w boczną, szutrową drogę, którą zamierzaliśmy objechać całe jezioro zatrzymując się od czasu do czasu w punktach widokowych.

Trasa prowadziła wzdłuż grzbietów górskich, skąd rozciągała się panorama na całe jezioro położone niżej w głębi doliny. Widoki, jakie w czasie tej wycieczki było mi dane oglądać po prostu zapierały dech w piersiach. Gdziekolwiek okiem sięgnąć widziałem gęste iglaste lasy, ośnieżone szczyty górskie wznoszące się nad błękitnym jeziorem, a wysoko w górze unoszące się w powietrzu białki amerykańskie wypatrujące zdobycz. Była to dla mnie wędrówka po krainie, gdzie jedynym gospodarzem jest Natura, a człowiek tylko gościem – malutkim, nic nie znaczącym puzłem w całej tej wielkiej, przyrodniczej układance. Bardzo to przeżywałem ponieważ dotychczas takie widoki miałem dostępne tylko na filmach, fotografiach lub książkach o Alasce, a w tym dniu – po raz pierwszy w swoim życiu – widziałem wszystko na własne oczy i chłonałem zachłannie całą powierzchnią duszy. W tym momencie zrozumiałem, dlaczego Alaskanie są tak dumni ze swojej małej ojczyzny. O pozostałych stanach wyrażają się z lekką ironią używając określenia „Lower 48”, choć właściwie powinni mówić „Lower 49, gdyż w skład USA wchodzi w sumie 50 stanów, a nie 49. Mniej więcej w połowie przejażdżki zobaczyliśmy przy drodze niedźwiedziec baribala z dwoma

młodymi. Widząc nasz samochód jeden z niedźwiadków próbował szybko wdrapać się na najbliższe drzewo piszcząc przy tym głośno ze strachu, ale jego mama – dostrzegając, że nie zbliżamy się i utrzymujemy odpowiedni dystans – przywołała malca do siebie, po czym cała rodziną podreptała spokojnie w głąb lasu. To był naprawdę cudowny i niezapomniany widok – niedźwiedzia rodzina na wolności. Około godziny 15:00, gdy objechaliśmy już prawie całe jezioro Skilak, Douglas zatrzymał się na sporej wielkości parkingu położonym nad jedną z tutejszych, górskich rzek i zaproponował żebyśmy się przeszli nad jej brzeg. Okazało się, że było to ujście Rosyjskiej Rzeki (z ang. Russian River) do rzeki Kenai – pięknego, malowniczo położonego cieką o turkusowym kolorze wody, a zarazem jedynej rzeki w parku, gdzie za odpowiednią opłatą można było łowić ryby.



Fot.69 Surowe, górskie pejzaże jeziora Kenai

W tym momencie oprócz nas nie było na pomoście nikogo, ale Douglas zapewniał, że wkrótce pojawiają się w rzece tysiące lososi pacyficznych wędrujących w górę cieków na tarło a wtedy, w ciągu zaledwie kilku dni, przybędą również tysiące turystów – dosłownie „dzikie” tłumy ludzi. Aż nie chciało mi się wierzyć, że to ciche i piękne otoczenie może tak szybko ulec tak gwałtownej metamorfozie! Ostoję Przyrody Kenai odwiedza rocznie ponad milion turystów, z czego ok. 150-200 tys. to wędkarze. Dlatego też, w celu lepszej i sprawniejszej obsługi ruchu turystycznego rozwijana jest na obszarze parku infrastruktura, np. w widocznych miejscach stawiane są tablice lub znaki informacyjne. Spotykałem je na każdym kroku, nie tylko nad Rzeką Rosyjską, ale również w lesie i nad jeziorami, dlatego pokusiłem się o pewne ich zaszeregowanie do kilku grup tematycznych.



Fot.70 Jedna z wielu bezimiennych rzek

Pierwsza to tablice prezentujące informacje przyrodnicze, np. opisujące ichtiofaunę jezior i rzek lub wskazujące na miejsca gdzie pojawiają się rzadkie oraz nietypowe gatunki ptaków. Wzdłuż szlaków, a zwłaszcza w miejscach ich rozwidlenia znajdowały się drogowskazy dla pieszych turystów, naj-

częściej wraz z mapką ułatwiającą orientację w terenie. Co ciekawe, podawana była zawsze długość szlaku w milach, a nie tak jak w Polsce średni czas jego przejścia. Zupełnie inny charakter miały tablice ostrzegawcze, których zadaniem było uświadomienie turystom różnych zagrożeń i niebezpieczeństw wynikających z pobytu na terenie parku. Dla jednostek zmotoryzowanych, wśród których prym wiodą niewielkie łódki lub pontony z silnikiem spalinowym, w odpowiednich miejscach ustawiono tablice informujące na których odcinkach rzek lub jezior nie wolno używać silników spalinowych. Oczywiście nadal można było korzystać z tej samej łodzi, ale należało wyłączyć silnik i podnieść go z wody. Wielkim, pozytywnym zaskoczeniem były dla mnie tablice z powieszonymi na nich, ogólnie dostępnymi kamizelkami ratunkowymi dla dzieci, znajdującymi się przy każdym kempingu lub miejscu wodowania łodzi. Douglas zapewnił mnie, że w skali całego roku ginie nie więcej niż 5 sztuk z terenu całego parku, ale najprawdopodobniej niektórzy ludzie po prostu zapominają oddać pożyczony sprzęt, bowiem kradzieże i zniszczenia praktycznie się tu nie zdarzają. Podobnie jak w niektórych naszych parkach narodowych, np. w Biebrzańskim lub Poleskim, w miejscach podmokłych lub tam, gdzie jest to wskazane do celów edukacyjnych zbudowano drewniane kładki i pomosty. W dogodnych miejscach na brzegach jezior i rzek postawiono tarasy widokowe, z których można było podziwiać okoliczną panoramę lub też, za pomocą zainstalowanych tam lunet, podpatrywać ptaki w sezonie lęgowym.



Fot.71 Rzeka Kenai

Po powrocie z pouczającej wycieczki odwiedziłem kuchnię, gdzie – jako substytut obiadu – zjadłem musli z gorącym mlekiem. Jakoś od dnia przylotu na Alaskę nie miałem zbyt wielkiego apetytu, co zapewne wynikało z tego, że organizm jeszcze nie zaadaptował się do nowych warunków. Po lekkim, ale pożywnym posiłku spakowałem notatnik do plecaka, porwałem aparat fotograficzny, po czym pomaszerowałem nad jezioro Headquarters położone ok. 1 km od siedziby parku. Tam znalazłem zaciszną zatoczkę z drewnianym pomostem, a ponieważ pogoda była piękna, słońce mocno przygrzewało i wszędzie słychać było głosy ptaków rozmarzyłem się otaczającymi mnie widokami oraz wszechobecnym spokojem i harmonią. W ten sposób miło spędziłem cały wieczór, a gdy słońce w końcu schowało się za górami i moskity stały się bardzo dokuczliwe wróciłem do swojego przytulnego, drewnianego domku. Po krótkiej wizycie w łazience położyłem się spać uznając mijający dzień za bardzo udany.

c.d. w następnym numerze

Więcej informacji na temat wyprawy na Alaskę można znaleźć na stronie internetowej Autora www.sebastianbielak.pl oraz w jego najnowszej książce pt. „Parki narodowe i rezerwaty Alaski”

Sebastian R. Bielak